

Nocny karnawał
kultury czyli
szesnasta Noc
Muzeów.



Muzeum Ziemi, fot. Marek Wierzbicki.

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Noc Muzeów, której szesnasta już edycja odbyła się 18 maja 2019 r. w całej Polsce, poddała nas swego rodzaju terapii świadomości ukazując, jak ważna jest kultura i sztuka w naszym życiu. Przepelnione stadiony futbolowe i hektolitry wypitego piwa starają się nas przekonać, że wszyscy potrzebują tylko „chleba i igrzysk”- masowych spotkań podsycających instynkt walki i zabawy, gdy tymczasem Noce Muzeów dowodzą tkwiącej w ludziach potrzeby spotkania z kulturą. Ulicami Warszawy, 18 maja, szły tłumy ludzi w różne strony – pielgrzymi sztuki. 260 placówek – instytucje muzealne, galerie, instytucje naukowe i rządowe, teatry, kościoły, specjalistyczne fabryki i archiwa, otworzyły swoje podwoje, organizując różnego rodzaju atrakcje

dla odwiedzających.

Dzisiejsza kultura jest droga i jak wszystko, w naszym zmaterializowanym świecie, stała się towarem, stąd rodzinne wyjście z dziećmi jest poważnym wydatkiem w budżecie. Jednak potrzeba przeżycia, poznania, inspiracji sztuką jest nieustannie silna, czego dowodzi rosnąca frekwencja Nocy Muzeów, w której biorą udział ludzie w różnym wieku z rodzinami z dziećmi na czele i ta wyjątkowa noc stwarza szansę zanurzenia się w przebogatej ofercie kulturalnej.

Pierwszym miastem, które wpadło na pomysł Nocy Muzeów był Berlin. W 1997 roku zaproszono wszystkich chętnych do bezpłatnego zwiedzania berlińskich muzeów. Pomysł ten przyjął się od razu i już w następnym roku Paryż udostępnił na jedną noc swoje muzea. W Polsce pierwsza Noc Muzeów zorganizowana została w 2003 roku – uczestniczyło w niej 11 muzeów. Od tego czasu, rokrocznie, coraz więcej instytucji przystępuje do tej inicjatywy. W 2018 roku udostępniono w całej Polsce 200 placówek, a w tym roku 260. Rośnie liczba otwartych miejsc i rośnie liczba uczestników Nocy Muzeów, a serce moje rośnie z radości, gdyż ciągle wierzę, że kontakt z kulturą i sztuką uszlachetnia. Może nie przerabia nas – zjadaczy chleba w anioły, jak romantycznie marzył Juliusz Słowacki, ale porusza nas, uwzniośla, pobudza emocjonalnie i intelektualnie.



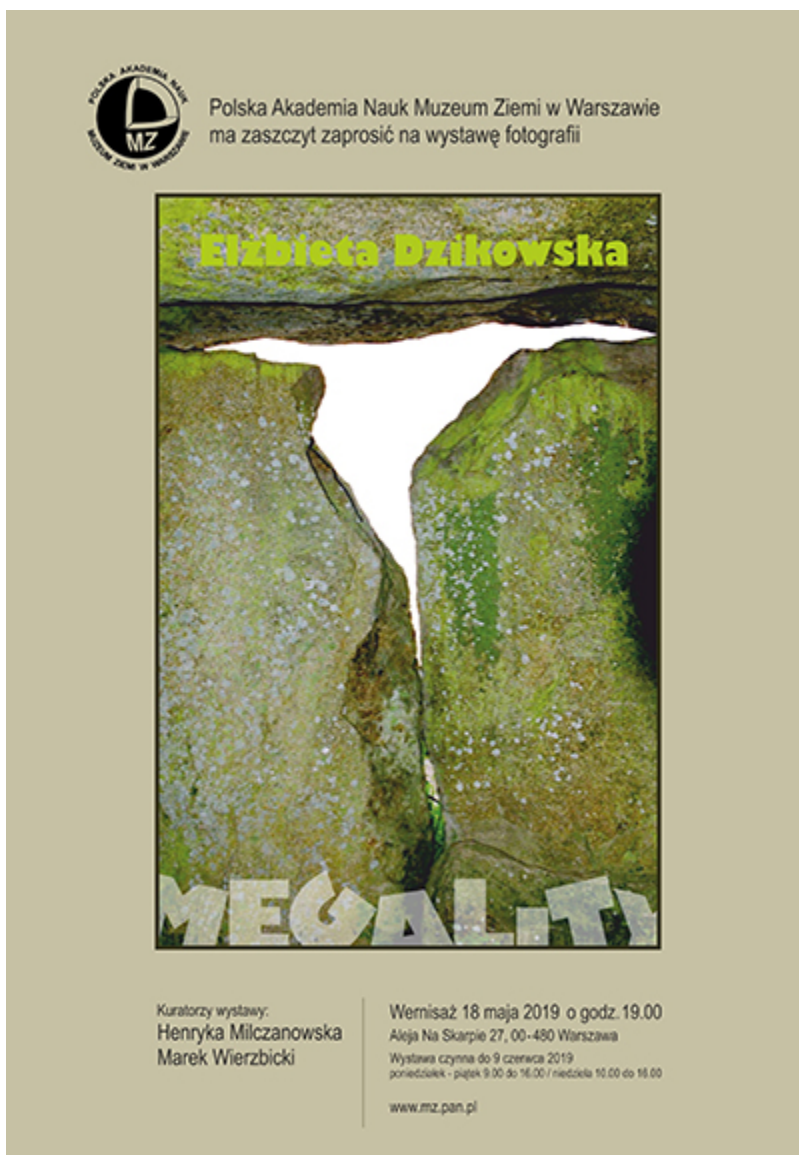
Elżbieta Dzikowska (z lewej) i rzeźbiarka Beata Czapska podczas Nocy Muzeów w Muzeum Ziemi, fot, Marek Wierzbicki.



Od lewej: Elżbieta Dzikowska, dr Cezary Krawczyński, dyrektor Muzeum Ziemi, Henryka Milczanowska, kurator, fot. Marek Wierzbicki.

Moja trasa tegorocznej Nocy Muzeów w Warszawie nakreślona została w wyniku walki z samą sobą, bowiem chciałam, a nie mogłam skorzystać ze wszystkich interesujących mnie zaproszeń – nie mogłam być w kilku miejscach jednocześnie. Wieczór rozpoczęłam od wernisażu fotografii Elżbiety Dzikowskiej w Muzeum Ziemi. Specjalnie na tą okazję znana dziennikarka, podróżniczka i fotograf pokazała zbiór zdjęć megalitów – niezwykłych w swej potężnej skali wotywnych kamieni. Megality są dziełem natury i człowieka, który tworząc z nich tajemnicze budowle, kręgi, aleje, dowodził swojej wiary i siły. Sercem megalitycznej kultury jest region Bretanii – Carnac, Stonehenge

w Anglii, znajdziemy je w Portugalii, w Polsce – w Górach Świętokrzyskich, na Pomorzu i Kujawach.



Następnym punktem na mojej mapie było Muzeum Narodowe, gdzie otworzono dwie nowe wystawy: „Arcydzieła Augusta Zamoyskiego” i „Leonardo – Opera Omnia”- wystawa zdjęć arcydzieł malarskich z okazji 500- lecia śmierci Leonarda da

Vinci. August Zamoyski (1893- 1970) tworzył przez ponad pół wieku – przez 30 lat we Francji, a wcześniej, przez 15 lat w Brazylii, dokąd wyemigrował w czasie drugiej wojny światowej. Rzeźbiarz tworzył w różnych materiałach – wiele prac powstało w marmurze, granicie, diorycie, w gipsie, glinie, drewnie. Kolekcja Augusta Zamoyskiego zakupiona została w 2019 roku dla Muzeum Narodowego w Warszawie: obok rzeźb znajdują się w niej rysunki, szkice, prace uczniów i narzędzia rzeźbiarskie. Elementami scenografii wystawy, urządzonej jako *atelier* artysty są skrzynie, w których transportowano rzeźby z Francji do Polski.

Kolejnym punktem programu było odwiedzenie Pałacu Staszica na Krakowskim Przedmieściu, gdzie znajduje się Polska Akademia Nauk. Zazwyczaj zamknięty obiekt, przeznaczony do celów naukowych i konferencyjnych, tej niezwyklej nocy otwarty był na oścież. Pracownicy naukowcy przygotowali imponującą ofertę. Kilka pokoi przeznaczonych było na „Gry i Zabawy” dla małych i dużych, na stołach rozłożone były gry z odległych zakątków świata. Dzieci mogły malować i rysować pod okiem instruktorów. W dużej sali przygotowano wystawę „Nieistniejące pejzaże Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej”. Tematem ekspozycji stały się zdjęcia wykonane w latach 1942-1943 przez brytyjskich żołnierzy *Royal Air Force*, stacjonujących w Libii, Egipcie, Izraelu, Libanie, Syrii, Iraku. Nie ma już tych pejzaży, pomników architektury, codziennego życia autochtonów, które

wtedy przypominało odległe epoki - pozostała pamięć zatrzymana na fotografiach. W wielkiej Sali Pałacu Staszica odbywał się pokaz mody przedwojennej, w innej części prezentowano autografy noblistów z archiwum PAN i wystawę „Utracony świat. Podróże Leona Barszczewskiego po XIX-wiecznej Azji Środkowej” oraz wystawę „Wspomnienie o generale Józefie Hallerze”. Oferta PAN była tak bogata i interesująca, że można było pozostać w Pałacu Staszica całą noc.



Koncert w Kościele Świętej Trójcy, fot. Katarzyna Szrodt.

Moją nocną przygodę z polską kulturą i sztuką, za którymi zawsze tęsknię na emigracji, zakończyłam w Kościele Świętej Trójcy na Placu Małachowskiego, słuchając koncertu muzyki Chopina w znakomitym wykonaniu Przemysława Lachowskiego. Dźwięki nokturnów, mazurków, fantazji wypełniały doskonale harmonijną, białą, klasycystyczną kopułę świątyni ewangelicko-augsburskiej projektu Szymona Zuga, architekta Stanisława Augusta. Nie było innego miejsca na ziemi, w którym w tej chwili

chciałabym być. Poprzez uczestniczenie w wydarzeniach kulturalnych, przeżywając dzieło sztuki czy utwór muzyczny, odsyłani jesteśmy do czegoś poza sobą, czegoś wyższego i nieprzemijającego, co czyni nasze życie głębszym.

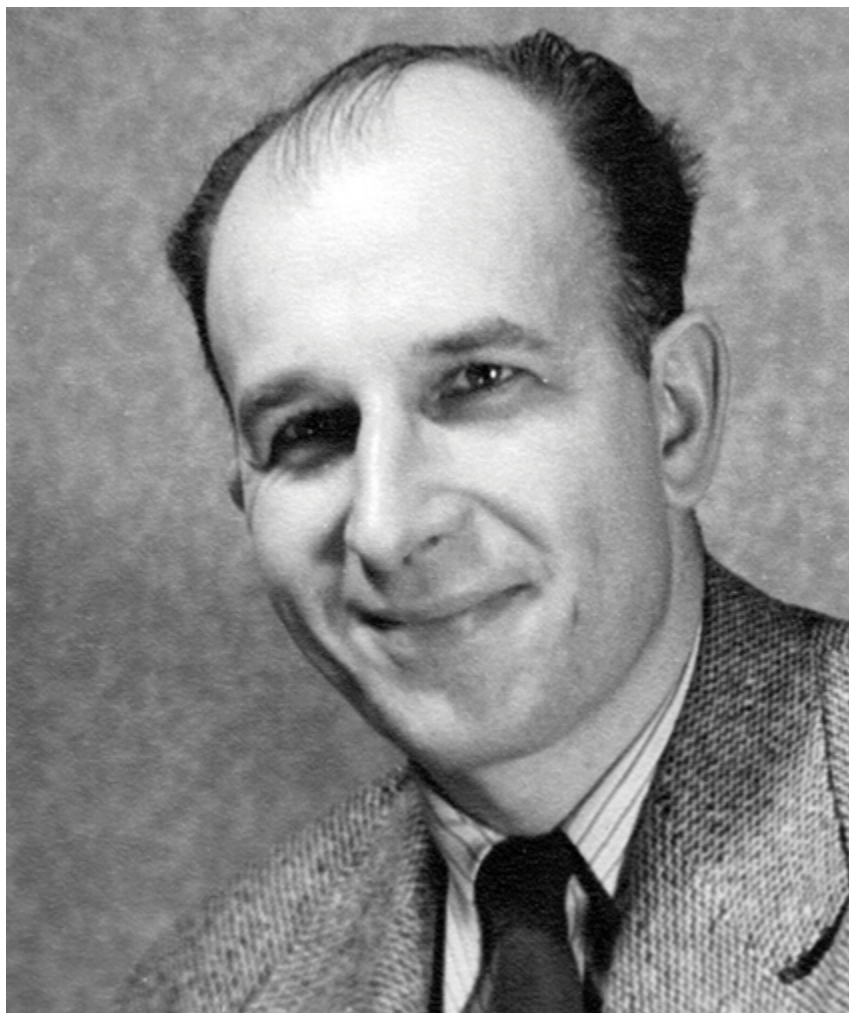
...bo naprawdę figury wyznaczają nam miary

I małym krokiem idą zegary

obok naszego prawdziwego dnia

R.M.Rilke/ Sonety do Orfeusza/Sonet XII

Poezja na emigracji

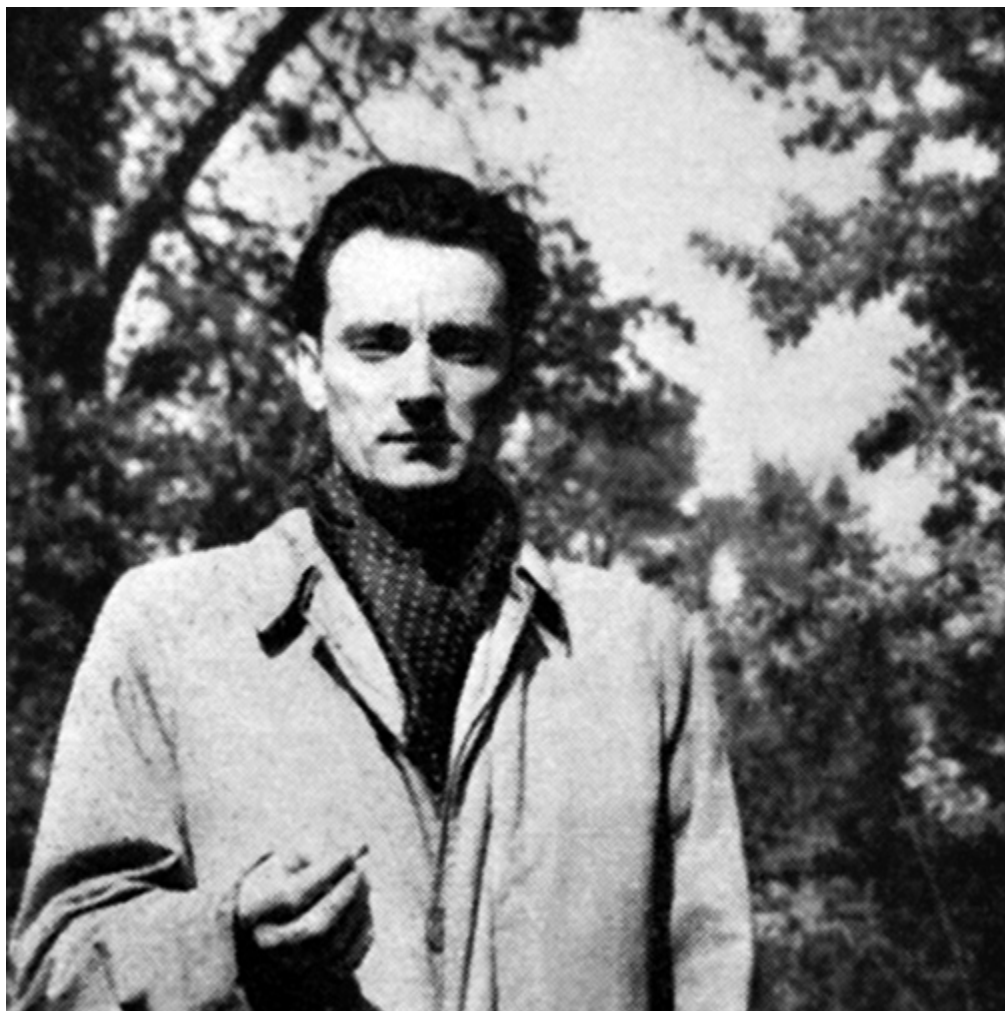


Aleksander Janta Połczyński, źródło: kulturadostepna.pl

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Aleksander Janta Połczyński (1908-1974) prowadził w Nowym Jorku antykwariat druków słowiańskich wraz z Aleksandrem Hertzem (1895-1983). Zobaczywszy na ich półkach antologię "Opisanie z pamięci", wybór wierszy młodych londyńskich poetów emigracyjnych, spytałem o cenę. Dziesięć dolarów wydało mi się ceną zbyt wygórowaną. – To niech mi pan dostarczy egzemplarzy – ciągnął niespieszony Janta.

Antologia została sporządzona i wydana w czasie chwilowej odwilży w Polsce. Po ukazaniu się, zamiast w sprzedaży wylądowała w piwnicach Domu Książki. Kilka lat później odwiedzałem Katowice, kiedy akurat w "przecenie" pojawiła się nieszczęsna antologia. Nabyłem wszystkie 40 egzemplarzy na składzie i przewiozłem do Kanady. Posłałem sygnał do Nowego Jorku. Janta oferował już skromniejszą cenę, ale zakupił dziesięć sztuk, a ja za te dwadzieścia pięć dolarów przywiozłem sobie ze Stanów mały aparat radiowy, który dotąd działa.



Marian Czuchnowski, źródło: oficyna21.pl

Kontrowersyjnego między wojnami poetę **Mariana Czuchnowskiego** (1909-1991) nieraz spotykałem w Londynie w drukarni "Oficyna Poetów i Malarzy" Czesława i Krystyny Bednarczyków pod przęsłem mostu kolejowego Waterloo. Zatrudniali go do falcowania i innych prac związanych z produkcją czasopism i książek. Nieśmiały i przygaszony, zagubiony i zapracowany nie skarżył się na ciężki los robotnika w obcym kraju. Dla młodszych od siebie był człowiekiem bez przeszłości, nie znaliśmy jego literackich sukcesów i nie czytaliśmy najlepszych utworów. Tylko po łebkach

dowiedzieliśmy się o jego młodzieńczym radykalizmie, a potem o ciężkich przejściach w czasie zsyłki do ZSRR, gdzie stracił swoje iluzje raz na zawsze. Z armią Andersa przeszedł na Bliski Wschód.

Był podwójnie wyobcowany: z dawnych przekonań politycznych i ze środowiska awangardzistów. Postradał wiarę w wyznawaną dotąd ideologię będąc świadkiem inferna sowieckiego. Potem odrzucił kuszenie uprzywilejowanych towarzyszy wśród których mógł być zostać dygnitarzem w PRLu i pędzić dostatnie życie, ale wybrał mizериę emigracyjnego tułactwa i ubóstwo. Los nie szczędził mu osobistych tragedii. Opowiadał mi kiedyś w drukarni jak opiekował się umierającym ojcem i podawał mu uśmierzającą ból morfinę. Chętnie i szczerze służył swoimi tekstami naszemu piśmu sympatyzując z młodym idealizmem.

W czytelni British Museum w Londynie poznałem **Jana Rembielińskiego**, międzywojennego redaktora i prezesa Młodzieży Wszechpolskiej, a z zamiłowania historyka. Siedział nad pismami Długosza. Chodziłem z nim na niedrogie obiady do restauracji Lyonsa. Delektował się starymi słowami takimi jak "skotopaski" zamiast sielanki czy bukoliki, które akurat tłumaczyłem z łaciny Wergiliusza. Mówił mi z upodobaniem o Polsce piastowskiej (wyszedł tylko pierwszy tom jego „Historii

Polski. Średniowiecze” w 1948 roku) i wczesnej monecie na której było słowo “miłość”.

Obietnica



Maja Elżbieta Cybulska

Czasami ma się ochotę na wiersz, który po prostu porusza serce. Wybrałam „Powrót do Isfahanu” Stanisława Balińskiego, ze zbioru *Wieczór na Wschodzie* (1928).

Powrócisz do Isfahanu, jak wraca pasterz do dolin:

Aleją białych platanów, brzękiem wieczornych mandolin,

Dzwonkami wiernych wielbłądów, idących z dalekich krajów,

Szumem pienistych strumieni, milczeniem ogrodu Rajów.

Zapachem róży wonniejszej od wszystkich kwiatów Gilanu,

I srebrnym cieniem wieczoru – powrócisz do Isfahanu.

Choćbyś nie umiał, nie wiedział i nie chciał – będziesz tam marzył.

Myśli rozwłóczysz, rozdalisz, roztopisz po horyzontach,

Zagubisz się i zachodzisz w miasta sinego trójkątach.

Wśród placów, drzemiących białą, i śpiewających bazarów,
Zapomnisz o biciu serca, zapomnisz o biciu zegarów.
Na to dalekie są miasta, kąpane we wschodnim niebie,
Żeby w nich błądząc samotnie, poczuć się bliżej siebie.
Niebo się zniży, kopuły zaleje płynnym szmaragdem,
Podasz mu oczy pogodne. Będziesz szczęśliwy. Naprawdę.

(Wiersze zebrane 1927-1947, Londyn 1948)

Przy lekturze tego wiersza nie chce się niczego ponad to, co zostało w nim ofiarowane. No może przydałoby się trochę informacji np. że autor pełnił służbę dyplomatyczną m. in. w Teheranie, w latach 1925-1927, a przedtem ukończył studia muzyczne, teoretyczne i kompozycyjne w Wyższej Szkole Muzycznej. Ale to są wszystko okoliczności pomocnicze, spoza tekstu.

W utworze jest „spora orkiestra”, bo i brzęk mandolin i dzwonki wielbłądów, szum strumieni, a jeszcze bicie serca i zegarów. To

wszystko uwypukla otaczającą ciszę, milczenie (place „drzemiące białe”), zapomnienie. Całość jest tak osobna, tak radykalnie oddzielona od człowieczej aktywności (choć niekiedy ją przybliża), że sprawia wrażenie jakiegoś abstrakcyjnego pejzażu, na innej planecie. Jedynie zwrot do drugiej osoby: powrócisz, rozwłóczysz, roztopisz itd. sprawia, że spostrzegamy czyjąś obecność.

Kto to jest? Marzyciel zagubiony „w miastach sinego trójkątach”, samotnik, artysta wrażliwy na barwy, na „srebrne cienie wieczoru?”, uwiedziony „zapachem róży”, odurzony powietrzem? Jest tu jakaś nieruchomość, zatrzymanie w czasie, wysublimowane przeżywanie momentu zetknięcia z czymś bardzo materialnym, a jednocześnie niezemskim. Jest jeszcze przejrzystość, nie zdefiniowana konkretnymi określeniami, ale zasugerowana opisem otoczenia. I żadnej drugiej osoby oczywiście nie ma. To tylko chwyt utwierdzający autora w trafności własnych obserwacji.

Wiodą one do znalezienia sensu w życiu. A jest nim poczucie bycia „bliżej siebie”, wejrzenie w głąb. Baliński wnika w stan duszy wędrowcy, romantycznego pielgrzyma, który wchłania niezwykle zjawiska i medytuje. Znajdując się w ciągłym ruchu, w drodze, jak brzmi tytuł innego wiersza, z tego samego zbioru, konstatuje:

Cały świat jest ojczyzną. Nie ma
krajów obcych,
Tylko czas, co je spaja i dzieli jak
chłosta

W końcu okazuje się, że ten świat „jest mniejszy od serca” i ucieczkę z niego zapewnia tylko śmierć. Ale przed ucieczką podróżnik ulega rozmaitym fascynacjom. Roztaczają się przed nim bajeczne widoki, ogarniają wzruszenia. Autor wskrzesza w swoim wierszu ponadczasową ideę dążenia: *Navigare necesse est. Vivere non est*. I ta nieoczekiwana obietnica. „Będiesz szczęśliwy. Naprawdę”. Osobiście nie wierzę w podobne zapewnienia, ale jeżeli wychodzą one od poety, to chyba warto spróbować mu zaufać.

Czy można się dziwić, że czasami nadchodzi człowieka chęć przeczytania tradycyjnego, poruszającego serce liryku?



Stanisław Baliński, poeta, fot. Wikipedia.

Cały świat jest

ojczyzną

Edward Zyman

Zaczerpnięty z wiersza Stanisława Balińskiego „Powrót do Isfahanu” tytułowy wers tej notatki mógłby posłużyć jako motto uroczej książki Maji Elżbiety Cybulskiej *Łabędź. O wierszach*, wydanej nakładem Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „Fraza” (2019). Zbiera ona gawędy o poezji, jakie autorka zamieszcza od trzech lat na łamach londyńskiego „Nowego Czasu”. Gawędy, bo to teksty pięknie, mądrze i niezwykle zajmująco „opowiadające” przesłanie osiemnastu wybranych wierszy (m. in. Balińskiego, Gałczyńskiego, Herberta, Homera, Horacego, Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Miłosza, Przyłuskiego, Szymborskiej, Śmieji, Twardowskiego, Wergiliusza, Wierzyńskiego).

Teksty te są jednocześnie dowodem bezinteresownej miłości jaką Cybulska, uprawiająca krytykę, darzy sztukę pięknego słowa. Nie dziwi to specjalnie, jest bowiem również poetką. Wiersze są dla Maji Elżbiety Cybulskiej zaproszeniem do refleksji nad fenomenem ludzkiej egzystencji, nad człowiekiem, jego namiętnościami i pasjami, nad wpisaną trwale w jego kondycję samotnością, a także nad procesami cywilizacyjno-historycznymi

wyznaczającymi warunki jego bytowania. Są także hymnem na cześć sztuki, jedynej bodaj aktywności ludzkiej, która nie dzieli lecz łączy, przemawia do każdego z nas, bez względu na miejsce zamieszkania, rasę i wyznanie. Gdy potrafimy zachwycić się piękną frazą, obrazem mistrza czy ujmującym istotę naszej niepowtarzalności lirykiem, wówczas cały świat jest dla nas ojczyzną. Znikają wszelkie bariery i granice, otwierają się natomiast – nieograniczone możliwości komunikacyjne. Zapraszam do lektury jednej z gawęd, którą autorka poświęciła przejmującemu lirykowi Stanisława Balińskiego. Polecając tę interesującą książkę, zredagowaną przez krytyka, historyka literatury i miłośnika pięknych druków – dra Jana Wolskiego i opracowaną graficznie przez Grzegorza Wolańskiego nie sposób nie zwrócić uwagi na jej piękny, cieszący oko kształt edytorski.



W rytmie jazzu.

Legendarni muzycy w obiektywie Jacka Gwizdki – część 2.



Enrico Rava, Montreal, 2001.

Jacek Gwizdka od lat zajmuje się też fotografią. Od 1997 roku

prezentuje swoje prace na wystawach w Polsce i w Kanadzie. Miał wystawy w Hart House na Uniwersytecie w Toronto (w Arbour Room i Hart House Art Gallery, gdzie jedna z prac otrzymała honorowe wyróżnienie), w Glenhyrst Art Gallery w Brantford, Ontario, Grimsby Public Art Gallery (Galeria kupiła jedną z prac do swojej kolekcji), w Fez Batik w Toronto (seria fotografii p.t. „Fluid Transformations & Moments”), w Club Lucky Gallery w Toronto (seria fotografii p.t. „Fluidscapes - Meditations of Light and Water”), w Centrum Kultury im. Jana Pawła II w Mississaudze w Ontario (seria fotografii p.t. “Musical Expressions”, przedstawiająca wybitnych muzyków jazzowych podczas gry), w L’Arte Café & Gallery w Toronto, w Galerii Pekao w Toronto, w Domu Nauczyciela w Łodzi (seria fotografii p.t. „Impresje”). Jacek Gwizdka brał też udział w znanym festiwalu kanadyjskich fotografów CONTACT w Toronto. Jego prace można też znaleźć w prywatnych kolekcjach w Kanadzie i Polsce.

Fotografie Jacka Gwizdki były publikowane w takich magazynach jak „Jazz Forum”, w miesięczniku kulturalnym „List oceaniczny” wydawanym jako dodatek do dziennika „Gazeta” w Toronto oraz w głównym wydaniu „Gazety”, fotografie podróżnicze ukazywały się w „Polonii Kalifornijskiej” i „Dzienniku Łódzkim”.

W 2003 roku słynna monachijska wytwórnia płytowa ECM użyła jego fotografii na okładkę płyty Stephen’a Hartke pod tytułem

„Tituli / Cathedral In The Thrashing Rain”.



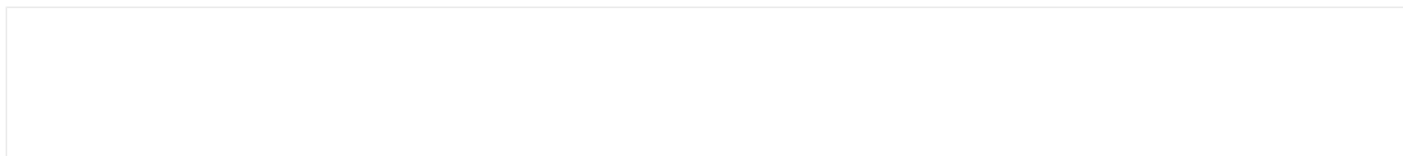
Chick Corea & Jacek Gwizdka, Montreal, 2001.

Zapytany o muzyków jazzowych, których miał okazję fotografować odpowiada:

- Ponieważ po wyjeździe z Polski mieszkalem najpierw w Niemczech (zachodnich), potem w Kanadzie, a później (i do

tej pory) w USA, miałem możliwość zobaczyć największych muzyków jazzowych drugiej połowy XX wieku. Na pierwszym miejscu muszę wymienić Miles'a Davis'a. Widziałem jego koncert w 1990 roku w Toronto około roku przed jego śmiercią. Byłem wówczas nowoprzybyłym Kanadyjczykiem, kupiłem jeden z najtańszych biletów na parterze w sali Pantages Theatre i miałem bardzo kiepskie miejsce (za kolumną), ale muzycznie doświadczenie było niesamowite. Pianista Keith Jarrett, którego twórczość bardzo cenię, powinien być na drugim miejscu. Widziałem jego dwa koncerty solo, w Carnegie Hall w Nowym Jorku (2005) i w Filharmonii Gasteig w Monachium (2016) oraz dwa razy z trio (z Gary Peacock, and Jack DeJohnette) w Newark NJ USA (2007) i w Montrealu w 2002 roku. Koncert saksofonisty Charles'a Lloyd'a z kwintetem w Montrealu w 2001 był niemal mistycznym przeżyciem. Kto następny, ciężki wybór. Genialny gitarzysta Stanley Jordan, którego widziałem w klubie Dimitriou's Jazz Alley w Seattle. Jego indywidualna technika jednoczesnej gry linii basu i solo na gitarze jest unikalna. Duet John Surman z Jack deJohnnette, których słyszałem na festiwalu w Montrealu na początku lat 2000. Koncert norweskiego gitarzysty Eivind Aarset'a, również na festiwalu w Montrealu. Oba ostatnio wymienione koncerty odbywały się w podziemiach kościoła w centrum Montrealu. Trębacz Nils Peter Molvaer z muzyką NU Jazz, również z Norwegii i jego występ w Montrealu w gęsto zatłoczonym klubie z salą pełną fanów i oparów „trawki”. Bugge Wesseltoft,

także Norweg z kręgu NU Jazz pozostanie w pamięci z koncertu jak i z późniejszych nagrań. Moja „północno-europejska orientacja” na jazz jest związana z moją ulubioną wytwórnią jazzową – ECM (Edition of Contemporary Music) z München (Monachium). Są również Polscy jazzmani. Moja lista jazzmenów z ojczyzny, nie jest po „znajomości”, ale dlatego że reprezentują oni najwyższy światowy poziom. Duet mojego przyjaciela, saksofonisty, Andrzeja Olejniczaka i pianisty Władysława „Adzika” Sendeckiego na festiwalu w Krakowie w 2018 pozostanie na długo w mojej pamięci.



G a l e r i a



Oscar Peterson, Montreal, 2001.



Maynard Ferguson, Toronto, 2002.



George Benson, Montreal, 2001



Esbjörn Svensson, Montreal, 2002.



Stefano Bollani, Montreal, 2001.



Kenny Garrett, Toronto, 2005.



Joshua Redman, Toronto, 2005.



Andrzej Olejniczak & Michał Urbaniak, Krakow, 2018.



Jan Ptaszyn Wróblewski, Toronto, 2004.



Charles Lloyd, Montreal, 2001.



Enrico Rava, Montreal. 2001.



Andrzej Olejniczak, Krakow, 2018.

Copyright Jacek Gwizdka. Zainteresowanych zakupem zdjęć prosimy o kontakt z redakcją.

Legendarni muzycy w obiektywie Jacka Gwizdki - część 1:

<https://www.cultureave.com/w-rytmie-jazzu-legendarni-muzycy-w-obiektywie-jacka-gwizdki/>

Inne wystawy Jacka Gwizdki w magazynie „Culture Avenue”:

<https://www.cultureave.com/cogitationes-aqua-jacek-gwizdka-fotografie/>

<https://www.cultureave.com/ramis-neuronis-jacek-gwizdka-fotografie/>

Jazz views and rhythms: Legendary jazz musicians

in Jacek Gwizdka's photographic lens – Part 2.



Enrico Rava, Montreal, 2001.

Jacek Gwizdka has been practicing photography for many

years. The subjects of his photographs are fragments of architecture, reflections of light on the water surface, tangled tree branches forming a repetitive whole. The images form abstract shapes and surfaces, reminding the complexity of neuronal structures in the human brain.

From 1997, he has presented his works at exhibitions in Poland and Canada. He had exhibitions at Hart House at the University in Toronto (in the Arbor Room and Hart House Art Gallery, where one of the works received an honorary distinction), at Glenhyrst Art Gallery in Brantford, Ontario, Grimsby Public Art Gallery (Gallery bought one of the works for his collection), at Fez Batik in Toronto (photo series „Fluid Transformations & Moments”), at the Club Lucky Gallery in Toronto (series of photographs entitled „Fluidscapes - Meditations of Light and Water”), at the Cultural Center John Paul II in Mississauga in Ontario (series of photographs entitled „Musical Expressions”, presenting outstanding jazz musicians during the game), at the L’Arte Café & Gallery in Toronto, at the Pekao Gallery in Toronto, at the Teacher’s House in Łódź (series of photographs entitled ” impressions „). Jacek Gwizdka also participated in the well-known Canadian CONTACT photographers festival in Toronto. His works can also be found in private collections in Canada and Poland.

Jacek Gwizdka’s photographs were published in such magazines

as „Jazz Forum”, in the monthly magazine „Oceanic Letter” published as an addition to the main edition the newspaper „Gazeta” in Toronto, travel photographs appeared in „Polonia Kalifornijska” and ” Dziennik Łódzki.

In 2003, the famous Munich contemporary music record label ECM used his photograph for the cover of the album by Stephen Hartke titled „Tituli / Cathedral In The Thrashing Rain”.



Chick Corea & Jacek Gwizdka, Montreal, 2001.

Jacek Gwizdka: After leaving Poland in 1988, first I lived in Frankfurt, Germany (then West-Germany), then in Toronto, Canada, and later (and up to this date) in the USA (Palo Alto, CA, Somerset, NJ, and Austin, TX). I had the wonderful opportunity to see the greatest jazz musicians of the second half of the XX c. First, I have to mention Miles Davis. I saw his concert in Toronto about a year before his death. I was a newcomer to Canada and I bought one of the cheapest tickets on the ground floor in the

Pantages Theater. I had a poor seat (with partially obstructed view behind a column). But the musical experience was amazing. The pianist Keith Jarrett, whose work I admire, should be mentioned next. I saw his two (rare) solo concerts, one at Carnegie Hall in New York (2005) and another at the Philharmonie am Gasteig in München (Munich); Germany (2016), and I saw him twice with the trio (Gary Peacock and Jack DeJohnette). First, in Newark, NJ (2007) and then in Montreal (2002). Charles Lloyd concert with his quintet in Montreal in 2001 was almost a mystical experience. Who's the next? A very hard choice. The brilliant guitarist Stanley Jordan, whom I saw at Dimitriou's Jazz Alley in Seattle. His individual technique of simultaneous playing the bass line and solo on the guitar is unique. Duo John Surman from Jack deJohnnette, whom I heard at the Montreal festival in the early 2000s. Concert by the Norwegian guitarist Eivind Aarset, also at the Montreal festival. Both last mentioned concerts took place in the basement of the church in the center of Montreal, which lent these performances spiritual dimension. The Norwegian trumpeter's Nils Peter Molvaer Nu Jazz music and his performance in Montreal in a densely crowded club with a room full of fans and fumes of „grass“. Bugge Wesseltoft, another Norwegian from the Nu Jazz circle, concert remains in memory. My „north-european“ jazz orientation is influenced by my favorite jazz record label – ECM (Edition of Contemporary Music) from München (Munich). There are also, of course, Polish jazzmen on my list. Their art

represents the highest world level. The duo with my friend, saxophonist Andrzej Olejniczak, and pianist Władysław „Adzik” Sendecki in Piwnica pod Baranami in Kraków (2018) will remain in my memory for a long time.

G a l e r i a



Oscar Peterson, Montreal, 2001.



Maynard Ferguson, Toronto, 2002.



George Benson, Montreal, 2001



Eshjörn Svensson, Montreal, 2002.



Stefano Bollani, Montreal, 2001.



Kenny Garrett, Toronto, 2005.



Joshua Redman, Toronto, 2005.



Andrzej Olejniczak & Michał Urbaniak, Krakow, 2018.



Jan Ptaszyn Wróblewski, Toronto, 2004.



Charles Lloyd, Montreal, 2001.



Enrico Rava, Montreal. 2001.



Andrzej Olejniczak, Krakow, 2018.

All photographs Copyright Jacek Gwizdka. To purchase any of the photos, please contact the editorial staff.

Jazz views and rhythms: Legendary jazz musicians in Jacek Gwizdka's photographic lens - Part 1:

<https://www.cultureave.com/w-rytmie-jazzu-legendarni-muzycy-w-obiektywie-jacka-gwizdki/>

Other exhibitions on „Culture Avenue”:

<https://www.cultureave.com/cogitationes-aqua-jacek-gwizdka-fotografie/>

<https://www.cultureave.com/ramis-neuronis-jacek-gwizdka-fotografie/>

Świat należy
do niewrażliwych.
B. J. Jenne.



Caracas, Wenezuela.

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Wielu Polaków przeszło koleje godne epopei. Do nich zaliczę Beniamina Józefa Jennego urodzonego w Warszawie w 1913 roku. Oddany od wczesnych lat ideologii lewicy po wojnie znalazł się w zarządzie miasta Warszawy. Nie mogąc pogodzić się z rozwojem sytuacji politycznej, już w roku 1948 uszedł do Szwecji.

W tymże roku kończyłem studia uniwersyteckie w Irlandii, kiedy do portu w Cork zawinął okręt z demobilu „Victoria” wiozący kilkuset uchodźców z krajów bałtyckich. Płynęli oni ze Szwecji do Kanady, aby próbować szczęścia w Nowym Świecie. Byli to głównie Liwini, Łotysze i Estończycy, ale znajdowali się wśród nich również Polacy. Tak poznałem Jennego i jego żonę.

Władze irlandzkie statek, jako nie nadający się do transatlantyckich wojaży, zatrzymały. Do uchodźców po czasie przyjechali kanadyjscy urzędnicy emigracyjni, by ich przesłuchać. Zakwalifikowali wszystkich, ale odrzucili Jennego. Przeszłość tamtych, choć nieraz podejrzana, nie stanowiła przeszkody. Polaka natomiast nie przyjęli, chociaż chronił się przed stalinowską opresją. Wydał się wszechwładnemu urzędnikowi niebezpiecznym socjalistą. Musiał wracać do Szwecji już z synem urodzonym tymczasem w Irlandii, kóremu dano na imię Patryk. Jenne po czasie dostał wizę do Wenezueli. Był to jedyny kraj, który mu uchylił drzwi. W Caracas zaczęło się więc nowe dla niego życie, na świat przyszedł drugi syn, Karol. Jenne po różnych próbach otworzył zakład galwanizatorski w śródmieściu stolicy.

Bawiąc w 1979 roku w Caracas skorzystałem z przerwy między sesjami naukowymi odbywającymi się w gmachu Ministerstwa Oświaty, poszedłem na ozdobionym konnym pomnikiem oswobodziciela kraju plac Bolívara. Na ten plac wychodziły okna warsztatu Jennego. W ciasnym lokalu na wysokim piętrze stały przyrządy obok słoików i basenów, w których elektroliza przenosiła złoto na zawieszone na przeciwnym biegunie przedmioty, spotkałem powtórnie, po nieomal trzydziestu latach, mężczyznę już o przyprószonych siwizną włosach ale rogiatym nadal duchu. Pod telefonem wiszącym na ścianie stał niewielki stół a na nim stara maszyna do pisania, na której przez wiele lat

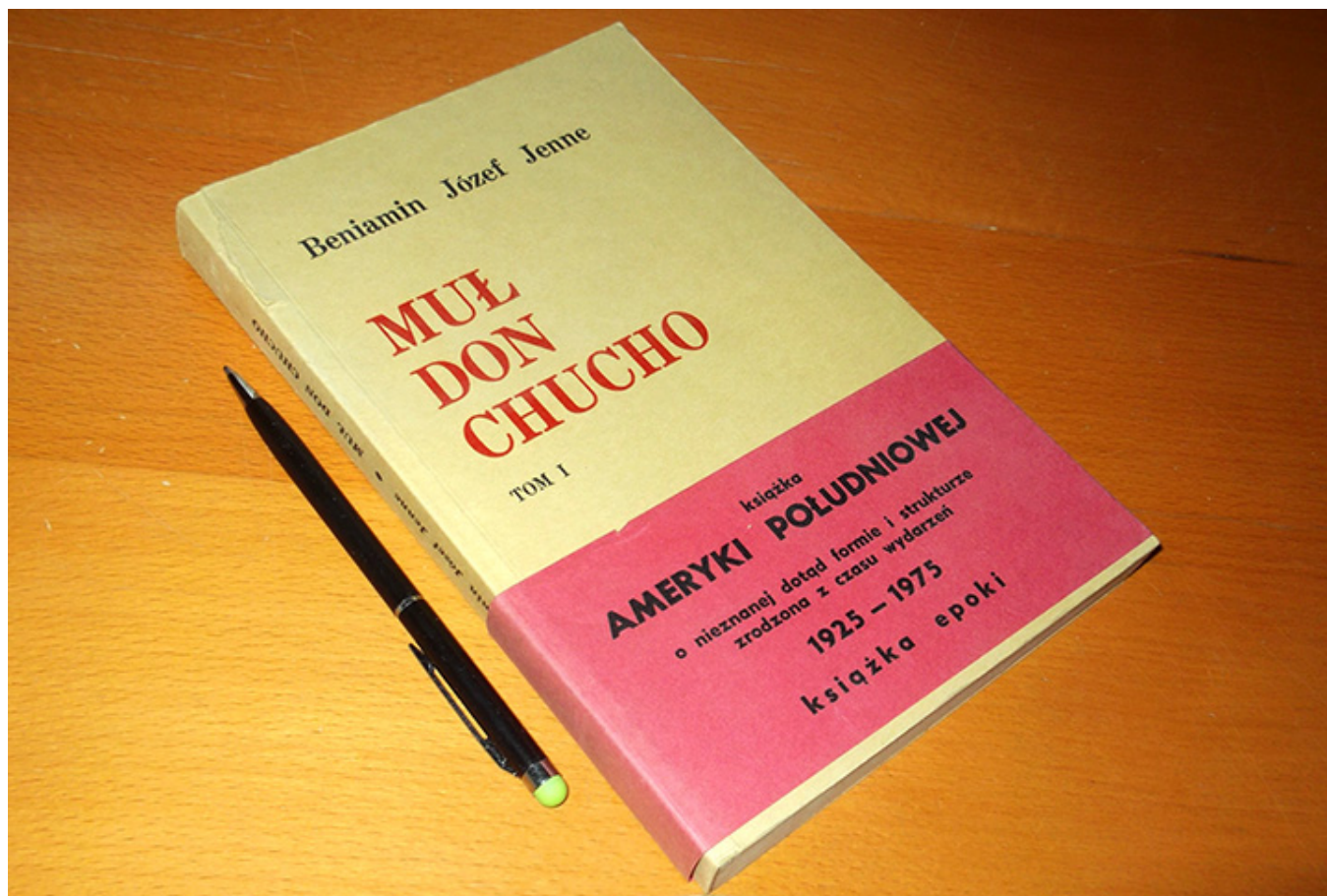
wystukiwał swoje teksty pomimo odgłosu maszyn, dzwonek telefonu i nachodzenia klientów. Potrafił się skupić, odciąć od świata i robić swoje w najbardziej niesprzyjających okolicznościach. Pozbawiony naturalnego pola do działania, Jenne, człowiek akcji, całą swoją energię przelewał na papier. Zaczął pisać na serio już w Szwecji i szybko utorował sobie drogę do czasopism emigracyjnych jako zadziorny publicysta, poeta i pisarz.

W tomie wierszy „Smagły wiatr ” (1959) uwagę zwraca drukowany także w paryskiej „Kulturze” wiersz krytykujący warunki, w jakich znajdowali się ludzie myślący innymi kategoriami i nie akceptujący wytworzonej sytuacji. Tytuł innego wiersza „Nie pójdę do Canossy” mówi sam za siebie. Po zbiorze „Czarne poematy z dyliżansu” (1963) wydał prozę „Aspazja, on i ja” (1964), w której ironicznie polemizuje z Witoldem Gombrowiczem i Jerzym Giedroyciem. Do poezji powrócił w „Erotykach” (1970), ale najsilniejszą jego pasją była ideologia.. W 1966 roku opublikował książeczkę „O ideowy profil emigracji” dedykowaną trzynastce młodych pisarzy londyńskiej grupy „Kontynenty” widząc w ich publikacjach zdrowy ferment i próby szukania wyjścia z krępującego partykularza.

Publikując książkę „Materia prima” w 1971 roku rozprawił się z marksizmem odmawiając mu wartości naukowych. Jenne uważa się za prekursora takiego widzenia marksizmu, podzielanego

obecnie przez wielu specjalistów. Na emigracji książkę przyjęto milczeniem. Jedynie Józef Mackiewicz poświęcił jej obszerny komentarz. Jenne zapowiedział kontynuowanie dyskusji, zgromadził wiele materiałów, celem zastanowienia się nad kierunkiem, jaki winna obrać lewica intelektualna, by wyjść z rozdroży, na których się znalazła. Wśród innych prac przygotował studium o Solżenicynie zgłaszając pod jego adresem szereg zastrzeżeń,

Jenne nie stroni od kontrowersji i uważa, że tylko w ciągłym rewidowaniu naszych pojęć możemy mieć pewność, że kroczymy po właściwej drodze. Jego artykuły polemiczne pojawiały się na łamach „Kultury”, „Wiadomości”, „Kontynentów”, „Merkuriusza”, „Nowego Znaku” i innych emigracyjnych pism. Niemniej wespół z nieortodoksyjnymi publicystami po pewnym czasie z nich zniknął. Nieobecność tłumaczył brakiem wolnych trybun dla wypowiedzi innych niż obowiązujące i że brak szerokiego wachlarza poglądów na sprawy publiczne był rezultatem polityki wydawców emigracyjnych. Dlatego, jego zdaniem, ucichło wielu ludzi twórczych. Mogli by się oni znowu pojawić i zaangażować, gdyby powstały nowe, niezależne pisma.



Przez wiele lat Jennego nurtowała myśl, by napisać monumentalną powieść. Chciał odejść od polskiej tematyki, wojennych przeżyć i martyrologii. Mimo trudności finansowych sprowadzał książki i prasę, by się otoczyć bogactwem źródeł. W godzinach po pracy pisał swoje dzieło. Tak powstał „Muł Don Chucho”. W 1962 roku autor miał już pięćset stron powieści, następne lata spędził na szykowaniu do druku tysiąca stron maszynopisu. Po ukazaniu się fragmentu w tygodniku „Wiadomości” powieść wyszła w roku 1979 w dwu tomach w Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie finansowana przez autora.

Pragnął on w niej ukazać Wenezuelę, kraj, który go przyjął i pozwolił godnie rodzinie się urządzić. W powieści uchwycił lokalny koloryt egzotycznego kraju, warunki życia, wydarzenia kulturalne w przybranej ojczyźnie. Przede wszystkim jednak stworzył epopeję miasta Caracas. Jenne był świadkiem przemiany miasta z glinianego w żelbetonowo-szklane z wszelkimi tak szybkiego przeobrażenia konsekwencjami. Pokazał w książce panoramę pięćdziesięciu lat, od ostrej dyktatury lat dwudziestych, do zwycięstwa partii demokratycznej w 1973 roku, w której pokładał wielkie nadzieje. W powieści przewijają się politycy, wojskowi, urzędnicy, finansiści, inżynierowie i architekci, kupcy i robotnicy rolni, Indianie i Metysi a także cudzoziemcy, wśród których nie brak Polaków uczestniczących w wielkiej przygodzie przebudowy stolicy i społeczeństwa.

Doskonale wypadła egzotyka Wenezueli, spotkania z bykami, grzechotnikiem, pelikanami, krwiożerczymi rybami, kajmanem czy meduzą. Szczególnie zapisuje się w pamięci mocny epizod spędu bydła i powódź spowodowana wylewem rzeki Apure. Również zmaganie się cywilizacji z barbarzyństwem, temat wielu znamiennych powieści z ubiegłego okresu literatury Ameryki Łacińskiej, znalazły u Jennego interesujący nowy aspekt. Postrzega on podmywanie całego swojego kontynentu przez komunizm. Autor zdaje się być katastrofistą: świat mu się chwieje, Stany Zjednoczone łaje za brak konsekwentnej linii postępowania, Watykan zdaje mu się flirtować niebezpiecznie z

Moskwą.

Wiele wątków politycznych rozszyfrujemy bez trudu, inne wymagają klucza, zwłaszcza jeżeli nie zna się Wenezueli. Pobrzmiewa nuta antyinteligencka: profesorom i jajogłowym osobnikom raz po raz się dostaje, nie uchodzi krytyce Picasso czy Penderecki. Antykomunizm autora szkodzi całości stępując efekt, gdyż czasem jego nieokiełznane wybuchy graniczą z absurdem, kiedy np. pomawia dysydentów o agenturalność. Poznańskie wypadki przypisał prowokacji, na której nie poznali się emigranci i Wolna Europa.

Spostrzec łatwo, że szereg jego postaci mówi i myśli tak jak autor, do tego tonem rezonerskim i moralizatorskim. Wprawdzie nie brak Jennemu zacięcia satyrycznego, ale komizmu w jego książce znajdziemy niewiele. Są natomiast fragmenty wypieszczone, jak choćby bardzo osobiste stronice poświęcone malarzom wenezuelskim, których płótna wiszą w Galerii Narodowej w Caracas. Forma książki, podział na eseje i szkice, nie każdego przekona, bo niektóre eseje wydadzą się zbyt mało organiczne, a nadmiar wątków zaciemnia nurt powieściowy. Za sukces natomiast uważam wielowątkowe rozegranie sceny zabójstwa Juana, gdzie każdy wątek zazębia się o tę scenę i nie tylko wzbogaca incydent, ale także dynamizuje całą akcję.

Gorzkie uwagi kierowane są również do Polaków, kiedy mowa

jest o megalomanii małych narodów obnoszących się bez końca ze swoją parą wybitnych ludzi. *Ex post* powie o mizernych rezultatach współpracy Polaków z Zachodem .

W Warszawie będą Rosjanie i sojusznicy skwitują nas orderami i gażami dla kilku generałów. Tak się też wasza zabawa w zachodniość zakończy!

O twórczości polskich pisarzy emigracyjnych sarknie:

Szesnastu emigracyjnych pisarzy pisze szkice o Mickiewiczu, sześciu o Norwidzie, trzech o Krasińskim, jeden o ewakuacji Funduszu Obrony Narodowej i tylko jeden pisze powieść o jeszcze na razie nieustalonym tytule.

W powieści rodacy wypadli trochę za dobrze. Są malowani i szlachetni. Nawet Wenezuelka, Judyta, wychowana w Warszawie przez siostry urszulanki „wdzięk, kulturę i styl obejścia miała panien z kresowych, arystokratycznych dworów polskich”. Zanotowałem ze zrozumieniem przedstawioną rozterkę emigranta, który nie zdołał oderwać się od ojczyzny, a nie stanie się częścią nowej, bo nie potrafi zaakceptować jej odmienności. Autor dopowie, że świat należy do niewrażliwych.

Odniosłem wrażenie, że powieść jest zbyt ambitna, próbująca brylować na zbyt wielu płaszczyznach, co przy pasji autora nie mogło wypaść bez zastrzeżeń. Wszystkiego w niej za dużo, za mało zdyscyplinowania. Oddech ma natomiast szeroki, bo pokusiła się, by dać epicki zapis rozwoju i przeobrażeń dalekiego kraju.

Powieść to niezwykła z zadatkami na bardzo dobrą. „Muł Don Chucho” (czytaj ‘czuczo’) to ogromna bryła kamienia, z której dałoby się wykuć idealniejszy kształt, to niepełne światło, bo przysłonięte skazą.

Wielki wysiłek autora, zarówno twórczy jak i materialny, nie znalazł stosownego uznania. Brak czytelnika na emigracji, a nieobecność książki w Polsce, stworzyły fatalną sytuację. Do tego autor poważnie zaniemógł. Czyż uratowanie marnującego się w Anglii nakładu nietuzinkowej książki jest rzeczą niemożliwą? Sądzę, że autor odstąpiłby cały zapas osobie czy instytucji, chcącej i potrafiącej książkę przewieźć i rozprowadzić w Polsce. Może ktoś spróbuje?